# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, 1 piętro, tel. 275-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5, tel. 26-58

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok IV. Warszawa, 13 Grudnia 1924 r. № 50.





Cena numeru 25 groszy.

## SEBASTJAN MICZYŃSKI.

(Prof. Akad. Krak., „Źwierciadło Korony Polskiej", 1618) *)

„Wołać już głosem wielkim na was muszę, o dzieci moje. Ocućcie się ze snu głębokiego, a obaczcie na jakim haku stoicie. Patrzcie, jakoście od tego sprosnego i bezecnego narodu w swejże ziemi, przy waszym chlebie zniewoleni i uciśnieni: w pęta, w którychbyście żydy mieć mieli, sami się pętacie i żydom w niewolą podawacie"...

*) M. Bałaban w „Dziejach żydów w Krakowie" stwierdza, że „Miczyński był dobrze poinformowany" i że ta „zjadliwa żydożercza książka jest miejscami prawdziwa".

## O NAPRAWĘ STOSUNKÓW

Od dłuższego czasu kluby, politycy, publicyści wołają o naprawę, bo już wszyscy czują, że jest źle. Niektóre koła postawiły już program zmian, jakie mają przynieść upragnioną naprawę. Dziś przyjęło się już w szerokich kołach opinji publicznej to przekonanie, że warunkiem naprawy jest zmiana konstytucji, wzmocnienie władzy Prezydenta Rzeczypospolitej zmiana ordynacji wyborczej i t. d. Ten program ma przynieść ocalenie.

Mnie osobiście wydają się te sposoby mechanicznemi i dlatego niebardzo wierzę w ich skuteczność. Bezwątpienia zmiana niektórych postanowień konstytucji czy ordynacji wyborczej może troszeczkę przyczynić się, albo raczej ułatwić możliwość naprawy. Może, ale nie musi. Mechaniczne środki bowiem nie wystarczają, a niejednokrotnie osiągają skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Biorę przykład najbliższy. Gdyby Prezydent Rzeczypospolitej był miał znacznie większą władzę niż ma, może dziś na czele wojska stałby z nieograniczotą i niekontrolowaną władzą, niby kopja dawnego Hetmana Wielkiego, najniebezpieczniejszy dezorganizator armji państwowej p. Piłsudski, nieodpowiedzialny przed nikim, niezależny od ministra, rządu, Sejmu. Nie wiem, czy obywalele, dbali o przyszłość państwa i rozwój armji narodowej, byliby zadowoleni z takiego użytku rozszerzonej władzy.

Jeszcze więcej możnaby powiedzieć o innych zmianach konstytucji. Napisać można wiele rzeczy mądrych lub głupich, pięknych lub brzydkich, ująć je nawet w paragrafy, ale przez to nie zmieni się stosunku obywateli do państwa. Najwyżej da się w ręce władzom nowe środki do szykanowania niemiłych ludzi, a dla miłych czy groźnych otworzy się nowe horyzonty do urągania prawu, drwienia z przyzwoitości i czwanienia się, że są wyżsi od prawa i że nie oni władz, ale władze ich się boją.

Wszak i w starej Rzeczypospolitej można znaleźć w Volumina legum ustawy i konstytucje, o których istnieniu życie nic nie wiedziało. Jest zmiana konstytucji o „obróceniu całej kozaczyzny w niewolne chłopstwo“ i jest konstytucja tyszowiecka o „wzięciu chłopstwa pod osobliwszą protekcję majestatu królewskiego". Jedna i druga nie znalazła żadnego echa w życiu politycznem, ani jedno choćby drobne zdarzenie nie świadczy, żeby ktośkolwiek kiedykolwiek próbował nie już wykonywać te postanowienia, ale bodaj rozważać sposoby, jakby te papierowe przepisy przybliżać ku urzeczywistnieniu. Uchwalono je w chwili stosownego humoru i zapomniano. Słowacki określił Polskę jako kraj, gdzie myśl poważna nie trwa i godziny. Jest uzasadniona obawa, że zmieniona konstytucja zostałaby tak samo zapomniana jak ta, która teraz obowiązuje. Przecież wbrew wyraźnym postanowieniom, ustawy, niezgodne z konstytucją dzisiejszą, nie zostały dotąd z nią uzgodnione, a uchwalono ponadto cały szereg nowych

ustaw, które również sprzeczne są z jej zasadami. Tylko dla zadowolenia żyłki pieniackiej przeprowadzono w dwóch, o ile mnie pamięć nie zawodzi, wypadkach rozprawę sądową i stwierdzono dla satysfakcji skrupulatów, że zaczepione w nich ustawy nie są zgodne z konstytucją. Te orzeczenia jednak nie pociągnęły za sobą żadnych skutków.

Można więc będzie bawić się i w zmianę konstytucji w braku lepszego zajęcia. Widziałem raz kilka mrówek, probujących z niezwykłym wysiłkiem i nadzwyczajnem zużyciem pomysłowości, dźwignąć ziarnko pszenicy i uginających się pod tym nadmiernym ciężarem. Przypomina mi się ten obraz, ilekroć pomyślę, jak nasi kierowniczy politycy już zabiegają, przemyśliwują, denerwują się, ażeby obmyślić te zmiany konstytucji, do jakich się zapalili. Ile trudu, dowcipu, czasu, zabiegów zużyje się, ażeby do nowej konstytucji przeprzeć, a bodaj przemycić pewne pożądane postanowienia. Uginać się będą pod nadmiernym ciężarem ziarnka pszenicy. Ale znając nasze usposobienie, śmiem twierdzić z góry, że kiedy dopną wpisania i uchwalenia swoich formułek, uznają naprawę za dokonaną i odpoczną na laurach w dobrze zasłużonem wytchnieniu. Tymczasem wpisanie czegośkolwiek w paragrafy czy artykuły niewiele albo nic nie naprawia, a i niewiele albo nic nie psuje.

W państwach despotycznych oddaje się potem policji czy żandarmerji obowiązek czuwania nad tem, ażeby obywatele stosowali się do obowiązujących postanowień. I policja, kierowana jedną niezmienną wolą, zastępuje z rozmaitym zresztą skutkiem sumienie u obywateli. W państwie despotycznem obywatele mogą więc nie mieć sumienia, a sprawy państwowe jakoś tam idą.

Ale w tak niezorganizowanej republice, jak nasza, policja zależy od prądów u góry, prądów, zmienniejszych niż wiatry kwietniowe na oceanie. Za co wczoraj kramikarza wsadzono do kozy i skonfiskowano towar, za to dzisiaj hurtownikowi dadzą pożyczkę protekcyjną i order. Przy takim braku systemu wszelkie pisane artykuły, konstytucji nie wyłączając, będą tylko źródłem dezorjentacji i rozkołatania głów i pojęć u obywateli. W tych warunkach jest rzeczą obojętną, co tam po różnych paragrafach, z trudem i kompromisem powypisywano, bo życie zastosuje do wszystkich przepisów swoje widzimisię, dyktowane przez zmiennych dygnitarzy o bardzo zmiennych nastrojach i humorach.

W rzeczypospolitej niema innego środka na naprawę stosunków, prócz wychowywania obywateli i prócz budzenia w obywatelach sumienia. Nie jest to rzecz tak trudna. Wyobraźmy sobie, że w Sejmie zawiązuje się grupa posłów o czystych sercach i rękach, o nieustępliwej surowości zasad. Ta grupa ściga wszelkie bezprawie, wszelkie nadużycie czy zaniedbanie, choćby się go dopuszczali rodzeni bracia, ojcowie, synowie tych posłów. Konsekwencja ma ogromny wpływ i jest potęgą. Takimi byli prawie wszyscy patrycjusze w sta-

rym Rzymie. U nas niestety! wszyscy stawiamy prawdziwie rzymskie wymagania wszystkim innym i nadzwyczaj łatwo zawieramy kompromisy z uczciwością, poczuciem prawa, zmiennością, o ile chodzi o nas samych lub naszych najbliższych. Brutus, zabijający swoich synów za przekroczenie prawa, jest u nas niemożliwy nawet w legendzie. Idźcie do najnieskazitelniejszego obywatela z żądaniem, żeby usunął lub oddał władzom tego lub owego szkodnika, a jeżeli jest szczery, odpowie: „Nie mogę, bo to mój osobisty przyjaciel". Sprawy publiczne załatwia się nie wedle prawa, odpowiedzialności i sumienia, lecz po sąsiedzku. I dopóki nie zastosujemy do spraw publicznych innej metody, niż do cudzych spraw sąsiedzkich (o własnych decyduje się z dużą rozwagą), dopóty nie pomogą nam żadne ustawy, choćby ciągle zmieniane i naprawiane.

Wogóle za wiele ufamy paragrafom, uchwałom, postanowieniom, nakazom i zakazom. Jest to wada społeczeństw niedojrzałych, w których poczucie prawne zastępuje się formułkami prawniczemi. Tak było w Rosji, tak w Egipcie Ptolomeuszów, tak w Rzymie pierwotnym przed ogłoszeniem dwunastu tablic. Dopiero z rozwojem doświadczenia i poczucia obywatelskiego zastąpiono podrywkowe formułki rozumieniem i pełnieniem prawa.

My żyjemy jeszcze w okresie formułek i doktryn. Nie urządzamy państwa, tylko znęcamy się nad społeczeństwem, przystrzygając je mechanicznie do formułek. Nawet szkoły zakładamy nie dla dzieci, lecz dla wygody nauczycieli. Kasujemy jednoklasówki po wioskach, aby zakładać siedmioklasówki po gminach kościelnych. Wprawdzie dzieci nie chodzą kilometrami w zimie czy podczas roztopów do tej dalekiej szkoły wyższego typu, ale za to zanika okaz samotnego nauczyciela w małej wiosce, a tworzy się w gminie liczniejsze grono, które przy sprzyjających okolicznościach może utworzyć dom zabaw i ćwiczyć się w nowożytnych tańcach, bo pary są.

Wedle formułki utworzyliśmy kasy chorych na nieszczęście pracodawców i robotników, ale za to dla wygody urzędników, prowadzących kasy, oraz stronnictw, ktore te kasy opanowały.

Tem się tłumaczy przerażający napływ młodzieży do szkół ogólno-kształcących. Wszyscy chcą być urzędnikami w państwie, samorządzie, kasach chorych i t. d., aby opuścić szeregi białych niewolników, czyli zwykłych obywateli, którzy coś wytwarzają i płacą podatki. O wygodzie dla tych, poza prawem stojących ludzi, nie myśli nikt.

Jeżeli kiedy, to dzisiaj formuła socjalistyczna o podziale społeczeństwa na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, miałaby trafne zastosowanie ale z tą poprawką, że wyzyskiwaczami są wszyscy, żyjący z pensji (dyjet poselskich nie wyłączając), a wyzyskiwanymi obywatele, płacący podatki na te pensje.

Mniemam, że naprawę należy rozpocząć od zdania sobie sprawy z tego psychicznego nastawienia narodu, że należałoby to nastawienie w duszach zmienić i na niem dopiero budować reformy i ustawy. Wewnętrznie, duchowo, psychologicznie naprawiać, a nie ograniczać się do naprawek mechanicznych.

*Jan Zamorski.*

## ZNOWU PIŁSUDSKI...

Piłsudski — tak pisali niegdyś Polacy — jest osobistością niezwykłą. Wpadają w zachwyt na dźwięk tego nazwiska młodzi i nieraz bardzo młodzi jego admiratorowie, którym wystarcza temperament „wodza". Piękne panie — nie zawsze piękne — zachwycają się jego wąsami. Mdleją prawie na widok tych wąsów i szepcą, jak zachwycone Niemki, patrząc na przejeżdżającego ulicami Wiednia Jana III: „jakże mu pięknie z temi wąsami!"

Ale ludzie rozważni, którzy spoglądają na bieg wypadków, na te pląsy odbywające się przed osobą Marszałka, na to igranie poważnym tytułem dla niewyraźnych celów, na to mącenie w państwie, jakie odbywa się pod hasłem jego imienia, wołają z rozpaczą prawie: Boże! Kiedyż to się skończy? Kiedyż ten człowiek ambitny i groźny powie swoim zwolennikom: zostawcie mnie w spokoju, skupiajcie się nie koło mego imienia, lecz koło ojczyzny, o którą walczyliście, a której losy ważą się na szali niepewności.

Daremnie jednak... P. Piłsudski zmusza do mówienia i pisania o nim. Zamiast uspokajać, on podrażnia najdrażliwsze a mało krytyczne umysły. Dobrowolnie usunął się ze swego wysokiego stanowiska. Zdawałoby się, że był to fakt obmyślony, stanowczy, że przeświadczony o swoich zasługach zamknie się w dumnem milczeniu. Nie. P. Marszałek powiada: „wyjdę na ulicę", „kości będą trzeszczeć". Sam nie wychodzi wprawdzie, ale znaleźli się ludzie, co wyszli w Krakowie pod jego sztandarem i mordując z ukrycia żołnierzy polskich, których kule moskiewskie oszczędziły, krzyczeli: „niech żyje Piłsudski"!

P. Piłsudski, tak niedawno jeszcze najwyższy dygnitarz państwa, nie stoi na najwyższym szczeblu swego dostojeństwa, gdzie wypisana jest sentencja bardzo krótka: spokój wewnętrzny, całość i szczęście Ojczyzny, lecz schodzi na ulicę, jak gdyby tu tylko widział Ojczyznę, i mówi na wszystkie strony: oto ja jestem, największy mąż mego narodu, władza do mnie powinna należeć, słuchajcie mnie, a kto nie słucha, ten nie jest prawym synem Ojczyzny.

Niedawny Naczelnik Państwa i niedawny naczelny wódz lubi mówić i mówi dużo o sobie. Pod tym względem jest on świetnym agitatorem. Zna swoje audytorjum i umie je zasuggestjonować frazesami. Stary stańczykowski Kraków, który za czasów Szujskiego i Tarnowskiego, prowadził wojnę

z frazeologją patrjotyczną i zwalczał słusznie warcholstwo polityczne, teraz, w nowej odrodzonej szacie przefarbował się na demagogicznego czciciela ex-naczelnika państwa.

Tam p. Piłsudski zdobył honorowy tytuł „doktora praw“ za to, że całe życie był w niezgodzie z prawem. Nie mógł pozostać uniwersytet Jagielloński bezczynnym wobec tego, że uniwersytet Lwowski miał już swego doktora honoris causa w osobie b. wodza naczelnego wojsk austrjackich, arcyksięcia Fryderyka Wieszatiela...

Niedawno p. Piłsudski zaszczycił Kraków swoimi odczytami. Zwykle zaletą dobrego odczytu jest to, że można go łatwo i logicznie streścić. Odczyty zaś krakowskie miały własne oryginalne piętno. Na temat odczytów napisał p. Zbyszewski bardzo ładny felieton — szkoda młodego i zdolnego pióra na takie eksperymenty. P. Piłsudski mówił oczywiście o sobie, o ile z tak zwanego sprawozdania wnosić wolno, a ma ono wszelkie pozory młodzieńczej szczerości.

P. Zbyszewski pisze: „streszczenie odczytów Marszałka Piłsudskiego byłoby zadaniem z pewnością niewdzięcznem. — Nie opis zarania naszego życia państwowego ściągnął do starego teatru olbrzymie tłumy“, „nie przedstawienie wypadków stanowiło jądro odczytów“. Cóż zatem? „Indywidualnosc Marszałka”, „jego styl osobisty“, „jego uczucia“. Było w tych odczytach wszystkiego potrosze: o odbudowie państwa, o rozbiciu na stronnictwa — czego sam magna pars fuit, — a nad wszystkiem „górował pierwiastek emocjonalny“. Trafnie to spostrzegł p. Zbyszewski i jakkolwiek był tego zdania, że takie niby odczyty, a właściwie pogadankę na różne tematy, streszczać trudno, wyłowił jednak tyle treści, że p. „Marszałek jurystą nie jest i popełnia wiele błędów“, o których dyskretnie zamilczał. Pragnąc jednak tę naganę osłodzić, dodał, że „ma zmysł prawa”, i „poczucie prawne“. W jaki sposób wszystko to się godzi — p. Zbyszewski nie powiedział.

Z tych kilku słów, na podstawie referatu p. Z. przytoczonych, wysuwa się pytanie: po co właściwie p. Marszałek jeździł do Krakowa? Szukajmy przyczyny. P. Marszałek nudzi się. Tęskni za Belwederem, marzy o władzy. On lubi rozkazywać, lubi mieć koło siebie „dwór“ liczny, posłuszny, schylony. Lubi błyskotliwe reprezentacje, na które zjawia się w skromnym żołnierskim mundurze, w szarym płaszczu jak Napoleon, z tą pewnością, że posiada także genjusz Napoleona. Tych wszystkich przyjemności nagle zabrakło mu w dostatecznej ilości. Przecież nie kto inny, tylko on mówił z wewnętrznem zadowoleniem o „bajecznej karjerze“ swojej. Do tych wszystkich, którzy go czcić nie pragną, odnosiły się słowa: „muszą mnie witać, choćby nie chcieli“.

Przyjaciele p. Marszałka podnosili głos o potrzebie powrotu jego na wysokie stanowisko wojskowe. On tego pragnie. Odczyty krakowskie są zręczną autoreklamą. W Krakowie Polska istniejąca nie podoba się — słuchają też chętnie wszelkiej krytyki. Prelegent umie nienawidzieć swoich prze-

ciwników jak i „Czas“. W takiej atmosferze łatwo mówić o własnych zasługach i wywoływać nastrój, że Piłsudski jest człowiekiem opatrznościowym.

Czyż w samej rzeczy powrót Marszałka do armji byłby pożyteczny dla państwa?

Wątpić należy, Skalą pożyteczności na takich stanowiskach jest wysokie wykształcenie wojskowe, które nie da się zastąpić „domowem wychowaniem“. Nie zaprzeczamy dzielności p. Marszałkowi, bo to należy do fachu żołnierskiego, ale naczelnikostwo jego wykazało wielkie niedomagania: za wiele mamy dotychczas jeszcze na poważnych stanowiskach ludzi z „wrodzonemi zdolnościami“ tylko. Podział korpusu oficerskiego w wojsku na dwie grupy: Piłsudczyków i „tolerowanych“, sprawiał, iż oficerowie z fachowem wykształceniem usuwali się z wojska. To rzeczy groźne. Dla każdego polskiego obywatela droga jest jedność, jednolitość armji i jej duch. Powrót p. Marszałka do armji wzmocni rozdwojenie.

Co miał zrobić p. Piłsudski, to zrobił — był dzielnym partyzantem, a na stanowisku Naczelnika politykiem o bardzo wązkim kręgu, bo do tego „wrodzone zdolności“ nie wystarczają.

Trzeba przeto marzenia o sławie zamknąć w Sulejówku. Państwo zyska na uspokojeniu się, a wojsko na jednolitości.

*Fr. Rawita-Gawroński.*

## POWRÓT ODYSSA.

W tych dniach wrócił do kraju „Człowiek który urodził się w czepku“. Wrócił z dłuższej półrocznej podróży po Tunisie, Algerze, Marokku gdzie jako, że jest urodzonym powieściopisarzem, zbierał materjały do nowej egzotycznej powieści. Wracał z Paryża, gdzie był honorowany i fetowany jako światowa znakomitość literacka. Wrócił atoli do Warszawy, gdzie niedawno przeżył miesiące najokropniejszych udręczeń i gdzie traktowany był przez prasę, a raczej część prasy, jako osobistość omal humorystyczna ale równocześnie przestępcza, którą trzeba dobijać wszelkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami. Wrócił więc poprostu jak Odysseusz ale nie do Itaki a do Hadesu, do piekła, w którem odtąd dłuższy czas „bawić“ będzie musiał, znów może jako ten dzik ściągany zewsząd przez łuczników Atalanty.

Czem się to dzieje, że „Człowiek, który urodził się w czepku“, w „rodzonem rodzinnem“ mieście, będzie się czuł conieco jak kot angora w psiarni, jak groch przy drodze, jak chart w kręgielni, jak drugi grzyb w barszczu, jak słoń w składzie porcelany, jak musztarda po obiedzie, jak Amen w pacierzu? jednem słowem jak intruz i winowajca? Z jakiejże to racji?

Oto powieściopisarz ten, przyczem uczony, podróżnik i przyrodnik, chemik i alchemik co z atramentu złoto szczere

wytapiać umie, miał tylko raz jeden w życiu pomysł fatalny i pechowny t. j. zaryzykował przerzucić się z życia na scenę i ze sceny przemówić i pogadać sobie ze swoją generacją, z współczesnymi. Sztuka ta się nie udała; obciążona tyradami i publicystyką, rekwizytami i dygressjami, poszła na dno repertuaru, wywołując przytem z lasu gromadę wilków krwiożerczych i okrutnych, które autora w oczach publiki omal rozszarpały krytycznemi kłami w trzy ćwierci do śmierci. Ale krytycy i recenzenci teatralni mieli jeszcze w odsądzaniu podróżnika i beletrysty od teatru i twórczości dramatycznej swoje racje. Potem atoli dopiero zaczęło się widowisko, nie godne „bogów" na Olimpie teatralnym a godne „ludzi i zwierząt". Jak na zbyt pstrokato ubranego podróżnika w okularach, botanika idącego spokojnie przez sam środek dżungli i kollekcjonującego rzadkie gatunki roślin niespodzianie zaczynają zrzucać kokosy i ananasy włochate hamadryasy, ogonami do splątanych lianów poprzyczepiane, tak i na nieszczęsnego debiutanta posypał się ze strony reporterów, wzmiankarzy i fejletonistów gazetek sensacyjnych i czerwonkawej prasy grad kamieni obrazy i kamieni żółciowych. Jakby się zerwała jakaś lawina złośliwych jadowitości. Szli nań ławą wywijając bumerangami.

I tu trzeba przyznać, że w tych samych przybytkach sztuki dramatycznej gorsze msze czarne czasami się odbywają. Koneserzy, którzy jednogłośnie potępili „Nieżywego Buddę" jednak dość łagodnie wdzięczyli się do takich „Malowanych Żonek", i do takich ordynarności przy których uszy więdną bardzo wytrzymałego słuchacza

„Człowiek który urodził się w czepku" musiał sobie dawać radę z dużymi kaleoparami i kangurami syberyjskiemi, z wężem-anakondą, długim na wiorstę i z gromadą antarktycznych niedźwiedzi, ale kunsztu ugłaskania premierowej widowni i gratisowego smoka grzechotnika nie posiadł.

A trzeba znać przedewszystkiem skład chemiczny warszawskiej dzisiejszej publiki premierowej, aby pojąć jakato spiętrzoną falą suggestji i hypnozy idzie od melomannów, geldhabów, hammelbejnów na ławę przysięgłych sztuki znawców. Gdyby się była sztuka nawet udała, to opinja tłumu premierowego za plecami sarmackich recenzentów byłaby dla „Buddy" niechętną, bo ten tłum już sobie nie życzy, aby bolszewizm malować na czarno, aby z państwa Antychrysta szydzić, aby zbrodniarzy rewolucyjnych nazywać zbrodniarzami. Nawet A. Francowi nie przebaczył jego satyry na rewolucję francuską. A cóż dopiero gdy Polak śmie „urągać" despocji Semitów.

Na Egipcjan np. to można, na Inkwizycję hiszpańską owszem, na carat, na Ludwika XVI, na papieża Borgię — to dobrze, ale na... imperjum Antychrysta, to już lepiej nie.

A kiedy jeszcze na wiotką i słabiutką sztukę puścił skorpion premierowy kohncept antraktowy: „żywa bujda", losy nowego dramaturga były przesądzone.

Ale nie poprzestano na tem. Nagonkę rozciągnięto teraz na wszystko, co dotychczas wogóle napisał ten, co się tu wyrwał z motyką na tarczę Dawida! Powodów i pretekstów znalazło się dość. Zanadto ma wyobraźni i za dużo... zarabia. Ciągle mówi o sobie i zbyt łatwo odnosi zwycięstwa nad przeciwnikami czworonogami. A tymczasem na to właśnie ma w Polsce monopol już ktoś inny, wielki, sławny, któremu najniepoczytalniejsze papkinady nie tylko uchodzą bezkarnie, ale jeszcze aureolę sławy rozdymają wśród maluczkich. Ten nasz Munhausen może opowiadać o sobie niestworzone niesłychaności. Podróżnik natomiast i myśliwy nawet w beletrystycznie traktowanej książce winien mówić tylko prawdę matematycznie i naukowo stwierdzoną? Gdzie jest taki podróżnik i gdzie ten myśliwy, który nigdy nie skłamał? nie przesadzał, nie koloryzował? Skąd ten ostracyzm nagły wobec naszego Tybetańskiego dajmy na to „Pana Paska"? Skąd ta mobilizacja piór przygodnych, byle najzłośliwszych, skąd to wyciąganie z bibliotek nawet sędziwych uczonych, byle tylko świadczyli przeciw? skąd to takie pośpieszne i żarliwe przedrukowywanie niechętnych i złośliwych głosów obcych, szczególnie niemieckich?

Czy gdyby był swego czasu Conrad Korzeniowski swoje też „Niezwykłe Przygody" drukował najpierw po polsku, czy też nie szłaby nań nagonka, że się mija z prawdą? I czy, gdyby jako Polak zyskał był sukces sławy światowej, czy nie byłaby też przeciw niemu powstała jakaś pangermańska znakomitość, co też po tych lądach i morzach bywała? podróżowała? I teraz pozwólmy sobie zwrócić uwagę na jeden szczegół jeszcze, ale bardzo charakterystyczny.

Oto agresywnę akcję przeciw niezwykłym przygodom, Ferd. Ossendowskiego przeprowadziło tosamo pismo, które natomiast niezwykłą reklamę dziś wytwarza koło „Niezwykłych Przygód" Jurenita Erenburga, nihilistycznego bolszewilka literackiego ze Sowdepji, rezydującego obecnie w Berlinie. Pismem tem są energicznie ale dziwacznie redagowane „Wiadomości Literackie". Tutaj czytaliśmy przedruki z pism berlińskich odsądzające naszego „Latającego Holendra" od czci dla prawdy naukowej i udowadniające, że nam „wstyd przynosi" taka znakomitość, o której lekceważąco i nienawistnie wyraża się sam Sven Hedin! Ale nie czytaliśmy tam równocześnie, że Sven Hedin gościł kilkakrotnie na Czerwonym Kremlu, że bywał tam przedmiotem owacji Kominternów Wcików, Narkomindiełów, że drukował horrendalne hymny pochwalne o oliparchji Nachamkiesów, Bronstejnów, Unschlichtów i Kohnów i że ten sam Sven Hedin był podczas wojny i jest nadal najzagorzalszym germanofilem!...

I rzecz osobliwa, że kiedy teraz w Paryżu odbyła się publiczna dyskusja między profesorem geografem z Lozanny Montandonem a wracającym z Afryki powieściopisarzem Ossendowskim, po stronie Polaka fantasty stanęli tak znakomici

pisarze jak Renard, Duhamel, Benoit a przeciw Ossendowskiemu młodzi intelektualni komuniści, nihiliści i probolszewicy ze stowarzyszenia „Clarté" (leader Barbusse).

I podczas kiedy z Berlina idzie nadal zacięta naganka na Ossendowskiego, skwapliwie w Warszawie przedrukowywana, w Paryżu znakomity krytyk „Journal des Debats" Jean de Pierrefeu zdecydowanie i mocno staje w jego obronie pisząc: „Śmieszne jest żądać od powieści scisłości naukowej. Jeżeli pan Ossendowski przeżył to wszystko, co opisuje, to należy mu się nagroda od wszystkich towarzystw geograficznych świata. Jeśli zaś to wszystko jest wynikiem jego twórczej fantazji, to należy mu się nagroda Nobla za talent".

To pisze o naszym fabuliście, o naszym w przyszłości może Claude Farrerze, Lotim, Hearnie czy Nansenie paryski krytyk. Mniejwięcej w tym sensie piszą też i inni recenzenci w piętnastu już językach świata, gdyż na piętnaście języków świata tłumaczono „człowieka, który urodził się w czepku", jeszcze nie zasłużony a już szczęśliwy.

Już też choćby ten sam fakt, że to polskie nazwisko zdobi książki, które są wystawione w witrynach księgarni w Szwecji, w Japonji, w Hiszpanji, na Borneo, w Celebes, w Kanadzie. w Atenach, w Dublinie, w Valparajzo, i tam gdzie nie dotarł nawet Sienkiewicz, powinien nam tu wszystkim w rodzinnem mieście tego Polaka rozsławionego w jeden rok na globie, nałożyć pewien hamulec na zbyt rozjadzone buziaczki, zmusić i Zoilów do pewnego respektu i rewerencji i zasystować tę łatwą nagonkę, przez „hidden hand" zainicjowaną i wyreżyserowaną, w której jeszcze raz znów okazało się, że „les Sarmates sont toujours les dupes".

Jeszcze raz możemy tedy stwierdzić, że „Żywy Budda" mu się nie udał, ale że on sam jako indywidualność artystyczna, jako frapujący pisarz i narrator i jako pomnożyciel „pola chwały" dla ojczyzny nam się udał. To też wracającemu do posępnego kraju Sindbadowi, który ma jeszcze w pamięci i w oczach słoneczne kraje a w sakwojażach róże marokkańskie i wawrzyny paryskie, nie rzucajmy zatem odrazu już do wagonu kamieni w gazety obwijanych. Poczekajmy. Niech pisze! I niech tem, co da w przyszłości usprawiedliwi i udowodni, że Fortuna nie była ślepą, sypiąc nań jak na Danae deszcz złoty i rozsyłając na wszystkie świata strony pół miliona egzemplarzy jego utworów we wszystkich językach.

Nie usuwajmy w cień własnymi rękoma „Niezwykłych Przygód" Osendowskiego na to, aby zrobić miejsce dla „Niezwykłych Przygód" bolszewickiego żyda Erenburga.

Niech szczęśliwy autor „Zwierząt, Ludzi i Bogów" (Bêtes, Hommes, Dieux) nie może sobie powiedzieć, że z bogami i ludźmi miał i ma do czynienia tylko za granicami swej Ojczyzny.

Ad. Now.

## DEKONSPIRACJA.

Dn. 7 b. m. w Auli Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczął się cykl wykładów p. t. „O Lidze Narodów". Słowo wstępne wygłosił minister spraw zagranicznych hr. Skrzyński, pierwszy odczyt wypowiedział prof. Bronisław Dembiński. Jako następni prelegenci ogłoszeni są: pp. Wacław Makowski, Stanisław Posner, Stanisław Bukowiecki, Franciszek Sokal Oskar Halecki i Zygmunt Nagórski.

Po za prof. Dembińskim—który, jako człowiek niezwykle poczciwy, do żadnego towarzystwa nie potrafi wnieść dyssonansu—jakże znamienny, jakże charakterystyczny jest przytoczony powyżej spis nazwisk! Jakaż jedność w wielości!

Zgrupowani są ludzie różnych przekonań politycznych, różnych stanowisk, różnych ras nawet: obok przywódcy P. P. S.—centrowiec, obok ministrów— adwokat z procesu Lednickiego, obok Bukowieckich i Makowskich—Posner i Sokal. A jednak, ponad różnice poglądów, stanowisk, rasy — czuć odrazu, iż jakiś „wyższy organizm" łączy ze sobą tych ludzi, wspólnie wygłaszających wykłady o „wyższym organizmie", który ma łączyć narody. Unosi się jakaś atmosfera „braterska", bliższa, bardziej intymna, aniżeli samo tylko braterstwo wszechludzkie, które ma być przedmiotem wykładów. Czuć wyraźnie, iż tych ludzi łączy coś więcej, niż przypadek.

I pocóż się tak bez żadnej potrzeby dekonspirować?

*i.*

## GIACOMO PUCCINI — FASZYSTĄ.

Parlament włoski uczcił uroczyście pamięć zmarłego dnia 29 listopada w Brukseli Giacoma Pucciniego. Zawiadomiwszy Izbę o śmierci wielkiego kompozytora, Mussolini powiedział między innemi:

„Przed kilku miesiącami Puccini zapisał się do stronnictwa faszystów.

Ale poza łącznością ideową, chcemy dziś uczcić mistrza, muzyka, twórcę. Muzyka jego wzruszała pokolenia. Wpływ jej nie zamrze nigdy, bo duch włoski jest nieśmiertelny".

A więc największy współczesny kompozytor włoski, twórca „Cyganerii", „Toski", „Madame Butterfly", był członkiem organizacji faszystowskiej. Nie będąc politykiem, przez długi czas nie zapisywał się do stronnictwa, ograniczając się do roli sympatyka. Ale w momencie, gdy ukryte siły międzynarodowe rozpoczęły przeciwko faszyzmowi generalną ofenzywę, gdy ze wszystkich stron rozpoczął się zaciekły, nieubłagany atak przeciwko rządowi narodowemu, Puccini uznał, że nie może pozostać dłużej na uboczu. Podobnie, jak znakomity dramaturg Pirandello, postanowił zapisać się do organizacji faszystowskiej, rzucić i swoje nazwisko na szalę toczącej się walki.

Rząd Mussoliniego nie opiera się — mimo wszystko — wyłącznie na „terrorze bojówek faszystowskich".

## STACHOWIAK.

Motto:

Sądzę, że osiedleni w Poznańskiem żydzi, chociażby im dozwolono, nie pójdą wielką masą do prowincji niemieckich, gdyż— nie chciałbym obraźliwego użyć wyrażenia *bezmyślność charakteru polskiego pod względem dóbr doczesnych czyniła zawsze z Polski Eldorado dla żydów.*

(Bismarck w mowie sejmowej 15 maja 1847).

„Przegląd Wieczorny". redagowany przez „Czasownika" W. Noskowskiego z dziwną zaciekłością i specjalną nienawiścią odnosi się do Wielkopolski. Co czas jakiś zioną w tym brukowcu na wielkopolską mentalita. Do białej pasji doprowadza ich Wandea Polski swem hartem, swą energją, swą czystością i wytrzymałością etniczną. P. Noskowski, który jakiś czas redagował tam ziemiański konserwatywny „Dziennik Poznański" ma duży żal do tej dzielnicy, że się na nim nie poznała i mści się na „Abderze" ile się zbierze. Od jakiegoś czasu dopiero coś się „Przeglądowi Wieczornemu" zaczyna tam podobać. Artykuł „swój do swego po swoje" z 31 października, tak zaczął:

„W Wielkopolsce i na Pomorzu zaczyna się *zdrowy odruch społeczeństwa*, przeciw jednej ze sztuczek narodowo-demokratycznych, mianowicie przeciw obłudzie tak zwanego „antysemityzmu", który w stronnictwach ósemkowych nie jest nigdy pomyślany na serjo, a służy tylko za przynętę".—

Zdrowy odruch społeczeństwa zaczął się w Wielkopolsce. Istotnie. I cieszy się już z tego także w „Naszym Przeglądzie" Pierrot (J. Appenszlak) pisząc:

„Założenie pisma postępowego w Poznaniu przypisać należy inicjatywie żydowskiej. Żydzi przenikają do Poznańskiego przez idealną „linję Korfantego", która miała tę dzielnicę Rzeczypospolitej oddzielić od zapowietrzonych postępem „galicjaków z Kongresowy". —

A kończy swój wybuch radości p. Appenszlak: „Niech się wściekają poznańskie endeki. Nic im nie powoże. I na Poznań przyszła już kolej — postępu".

Jak widzimy z tego: dwugłos, duet: Noskowski w „Przeglądzie Wieczornym", a Appenszlak w „Naszym Przeglądzie". Marzenia p. Marji Jehanny Walewskiej-Wielopolskiej spełniają się, Poznań idzie z postępem... czasu. Juz po ulicach Poznania darmo rozdają przechodniom z inicjatywy żydowskiej wydawany „Głos Poznański", drukujący się tam gdzie „Posener Tagblatt", redagowany przez oczywiście Krakauera nazwiskiem Wohnuta, a zmontowany przez Polaka, *który, by ożenić się z żydówką, przeszedł na judaizm*:

*Wiktora Stachowiaka.*

I już Drang nach Westen Ostjudow ze Wschodu zacznie się na wielką skalę. Najpierw idą kulturalne forpoczty: odczyty Boya o „Trzydziestoletniej kobiecie" i Drobnera w Bydgoszczy propaganda „niezależnego socjalizmu", poczem na przemian to pornografja, to filosemityzm, to kabaret warszawski, to radykalny fuzel i brukowe piśmidła sensacyjne. Wreszcie czysto-żydowski: „Głos Poznański".

Postęp!

## ABY NIE DAWAĆ BRONI NACJONALISTOM NIEMIECKIM...

Niedawno wyższy sąd wojskowy w Lille skazał zaaresztowanego na terytorjum francuskiem generała pruskiego von Nathusiusa na rok więzienia za dokonane w czasie wojny we Francji rabunki i kradzieże. Przed dwoma tygodniami jednak, w myśl decyzji premjera Herriota, gen. von Nathusius został

ułaskawiony i odesłany do Niemiec. Francuska prasa lewicowa objaśniała krok ten, jako chęć osłabienia nastrojów nacjonalistycznych w Niemczech, w okresie przedwyborczym. „Idzie o to, aby nie dawać broni w rękę nacjonalistom niemieckim"— pisały organy, popierające rząd p. Herriota — „Ułaskawienie gen. von Nathusiusa pozbawi nacjonalistów ważnego argumentu w kampanji przedwyborczej i wzmocni szanse żywiołów demokratycznych".

To też duże wrażenie wywarła we Francji depesza agencji Havasa z dn. 28 listopada, iż gen. von Nathusius bezpośrednio po powrocie do Cassel postanowił wygłosić przemówienie na wielkim wiecu przedwyborczym stronnictwa nacjonalistów...

## TOŻE PACIFIST...

Bogacz amerykański i znany propagator pokoju światowego Edward W. Bok, wyznaczył sumę 100,000 dol. jako wynagrodzenie konkursowe za najlepszy projekt, zgodny z interesami rządu St. Zjednoczonych. Wyłoniono więc komisję z pomiędzy rzeczoznawców przedmiotu oraz przedstawicieli rządu. Komisja po rozpatrzeniu prac, jednozgodnie przyznała nagrodę C. Newmanowi, którego nazwisko miała ogłosić nazajutrz po posiedzeniu jury. Trzeba jednakże trafu, iż jeden z członków jury, krytycznego wieczora spotkał się w klubie z pisarzem politycznym Jamesem M. Cordray'em, którego wtajemniczył w treść nagrodzonej pracy.

— Ależ w takim razie jest to moja własna rozprawa, drukowana przed paru laty w ograniczonej liczbie egzemplarzy!—zawołał Cordray.

Nazajutrz przedstawił komisji kwestjonowaną broszurę i stwierdził, iż Newman był tylko pl g atorem — grafomanem. Wyrok jury cofnięto, „laureatowi" zaś za oszustwo wytoczono proces sądowy.

## „SWYWOLA DRUKOWANEGO SŁOWA".

**Lloyd George o Asquithcie:**

P. Asquith był najzupełniej uprawniony do oczekiwania tego rodzaju wyników, bowiem któż mógłby przypuścić, że kierownik wielkiej partji zachowa się jak zazdrosna, próżna, nieufna i kapryśna drugorzędna aktorka.

**Ramsay Macdonald:**

Liberali i konserwatyści to głodne psy, szukające żeru w śmietnikach.

**Winston Churchill:**

Socjaliści angielscy byli zawsze najgłupszymi socjalistami z całego świata.

## POCZĄTKI „KURJERA PORANNEGO".

Rewelacje p. Leona Belmonta w „Wolnem Słowie".

(Dokończenie).

**Pertraktacje polubowne.**

Po 2—3 latach od chwili, kiedy p. Feliks Fryze zainicjował niezmiernie pilne i pożyteczne dzieło, rzucił śmiałą myśl i zaczął ją wcielać w życie, zebrawszy odrazu rb 6 250 na jubileuszowej uczcie straży ogniowej — urodziła się w kancelarji Oberpolicmajstra nowa myśl: — A możeby tak odebrać fundusz depozytowy z rąk syna zmarłego depozytarjusza za pośrednictwem adwokata — i przystąpić do organizacji

kasy zapomóg bez pomocy zmarłego i żywego Fryze, znalazłszy do tego podstawę w funduszu złożonym w jakiejś instytucji bankowej wyraźnie na rzecz straży ogniowej. Obecny Oberpolicmajster powierzył tę sprawę adwokatowi przysięgłemu p. Henrykowi Dziewulskiemu. Ten przekonał się, że do kapitału w Tow. Wz. Kred. imieniem straży ogniowej dostępu niema — próbował tedy przedewszystkiem środków osobistego porozumienia się z p. Fryze.

**Fryze w sądzie parów.**

Pan Dziewulski myślał co ma czynić dalej... I „wpadł"... Wpadł na myśl: W Warszawie funkcjonować zaczęło Towarzystwo dziennikarzy i literatów polskich... Do niego się zwróci, niech ono sądzi sądem Salomona. — Wytłomaczył w podaniu szczegóły sprawy. Wytłomaczył czemu nie wlecze sprawy przed kratki sądowe. Nie chce płoszyć dobroczynności ogółu myślą, że „fundusze dobroczynne mogą być zaprzepaszczone". Jako Polak nie chcę kompromitować prasy polskiej. Z pięknych uczuć nie należy robić parawanu dla krzywd społecznych i kalectw moralnych. Strażak, który złamał nogę, ratując ludzi, ma prawo do pomocy, którą mu niesie ogół, choćby opinja „jakiegoś pana Fryze" (wyrażenie oficjalne) mogła ucierpieć na tem. Ale p. Dziewulski miał prawo do swoich pięknych wahań. I tembardziej Towarzystwo Dziennikarzy Polskich powinno było zająć się tą sprawą na serjo! (Bo nie istnieje ono po to tylko, żeby wrzaskliwie reklamować swoje „niebywałe atrakcje maskaradowe"). Niestety!. To p. Dziewulski zapomniał, że kruk krukowi nie wydziobie oka. Ale Towarzystwo Dziennikarzy dobrze pamiętało o tem.. Wyprało ono „filantropijną bieliznę" — nie wziąwszy jej z rączek p. Fryzego. Nie zmusiło ono p. Ludwika Fryze do dnia ścisłego rachunku z funduszów dobroczynnych, aby można było ustalić czy suma „około 14 tysięcy rubli" jest obliczona prawidłowo—czy policzono procenty za cały czas (24 lata) jak należy. Wystarczyło sądowi polubownemu, że pan Fryze podał poprostu cyfrę „około 14.000 rubli" — z tych na rachunku Towarzystwa Wzajemnego Kredytu Rb. 13.667,97 kop. Wystarczyło mu, że pan Ludwik Fryze przedstawił dowód z Tow. Wzajem. Kred., że on, pan Ludwik Fryze, ma w tem towarzystwie cztery sumy: Rb. 3.299 kop. 25, Rb. 7.057 kop. 60, Rb. 556 kop. 80, Rb. 2.480 kop. 01 t. j. razem Rub. 13.393 kop. 66. No to bardzo pięknie, że pan Ludwik Fryze ma kapitały we wzajemnym kredycie. Każdy literat chciałby je tam mieć! Nie zainteresowało się Towarzystwo Dziennikarzy tem, jaki był ruch tych sum — kiedy były wpłacone — czy nie były podnoszone nigdy... Co się działo z procentami?.. A to były rzeczy ciekawe... I dopiero po zbadaniu ich możnaby wydać sąd, o ile słusznym jest, zostawić je pod dalszą opieką p. Fryze. Prawda sędziami byli... nie buchalterowie. To ich usprawiedliwia, że ulękli się cyfr i rachunków... Ale nawet dziennikarze powinni byli nalegać, aby p. Fryze przesłał do Tow. Wz. Kredytu oświadczenie, że fundusz ten nie jest jego własnością. Towarzystwo Literackie zadowolniło się natomiast wniesieniem do swego protokułu, że pan Ludwik Fryze wzbrania się wydać tę sumę dla tego, że chce przedtem uzyskać ustawę „kasy pomocy dla strażaków".

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Skoro synowi ojca, który bywał na tylu pożarach, nie wybiła łuna rumieńca na czoło, gdy go kuszono środkami prywatnemi i polubownemi, pozwalam sobie pociągnąć go przed trybunał opinji publicznej!..

**Do p. Ludwika Fryze.**

Powiadam mu: 24 lata nędzarze czekają na swój zasiłek! 24 lata wola ofiarodawców nie została spełniona 24 lata trwają te kpiny z elementarnej uczciwości. 24 lata słyszy się, „że ustawa będzie opracowana", że „już posłana do Ministerstwa aby w 24 roku usłyszało się znów, że ma być dopiero opracowana". Opracowanie ustawy kasy zapomóg— dla której wzory w stu towarzystwach analogicznych znaleźć można —

robota, która trwać winna trzy dni, siedem, ostatecznie miesiąc—którą ofiarny prawnik uskuteczniłby darmo — za którą ostatecznie możnaby z procentów zebranego funduszu zapłacić Rb. 25, 50 (lub 100, co już byłoby wielkiem honorarjum) — ta głupia robota odkłada się przez 24 lata — i dziś jeszcze wstrzymuje użytkowanie z 14-tysięcznego kapitału dla ludzi, którzy bohatersko narażali swoje życie przy ratowaniu bliźnich!.. Powiadam więc p. Ludwikowi Fryze: Dosyć kpin! Przeliczyłeś się pan, zbyt głęboko wierząc w to, że w atmoswerze amikoszoństwa prasy warszawskiej — w państwie zasady: „rączka rączkę myje, nóżka nóżkę wspiera" — w dziedzictwie ludzi, którzy ciągle tylko „wieszają małych złodziejów" ale nigdy nie żądają rachunków od wielkich mocarzy dziennikarstwa — w cuchnącym farbą drukarską i fałszem wzajemnych pochlebstw kraju gazeciarskim—śród miłujących spokój literatów, którzy boją się, że masz możność smagać ich za śmiałe słówko prawdy 365 razy na rok — przeliczyłeś się pan, mówię zbyt głęboko wierząc w to, że tu nie znajdzie się nigdy „szaleniec", który Ci zawoła: „Panie Ludwiku Fryze! Dosyć kpin!" Który Ci powie: „Pański ojciec bądź. co bądź był w dziennikarstwie czemś—i coś istotnie uczynił nieraz dla dobra strażaków — a Twoim obowiązkiem względem jego pamięci było natychmiast po jego śmierci rzecz tę uregulować, aby uniknąć tej burzy, która rozpętać się może kiedyś w gromach oburzenia i w błyskawicach prawdy! I to ty wywołałeś tę burzę! Skrzywdziłeś pamięć swego ojca, nie pośpieszywszy ukryć jego błędu — i trwając przy nim!.. A jeżeli jesteś zdania, żem gdziekolwiek uchybił prawdzie— proszę, wezwij mnie przed kratki sądowe.. oskarż o potwarz! Wtedy znajdę świadków — i dokumenty — i jako podsądny dopomagę twojej słabej pamięci odtworzyć historję dobroczynnego funduszu na kasę strażaków, która w przyszłym roku obchodzić będzie dwudziestopięcioletni jubileusz swego nieistnienia!

## Jeszcze słówko o funduszu strażackim.

### Fryzowana Panama.

Z powodu wyrażenia p. Ludwika Fryzego: „wynajętego cuchnącego specyficznie, półobłąkanego dziennikarskiego opryszka, rzucającego zawartością szaletów"—nie mamy nic do nadmienienia. P. Ludwik Fryze powiedzeniem tym scharakteryzował się dostatecznie. Konstatujemy tylko: 1) P L. Fryze nie odważył się odpowiedzieć, pod naszem, lub naszego pisma imieniem. 2) Nie wytoczył nam żądanego przez nas procesu o potwarz, bo wie, że dowiedziemy niezbicie kłamliwości wszystkich jego wyjaśnień. 3) Uląkłszy się, że Towarzystwo literatów i dziennikarzy na skutek ponownego żądania p Dziewulskiego zajmie się obliczaniem sumy, która należy się kasie strażackiej, wykreślił się z Towarzystwa. 4) Wbrew brzmieniu wyraźnych dokumentów, publicznie zarzucił fałsz Towarzystwu literatów i dziennikarzy, twierdząc, że nie był członkiem—założycielem Towarzystwa Ten postępek potępiony został surowo na posiedzeniu przez niektórych członków zarządu (p. Lorentowicz i in.) i stwierdzony przez prasę (sprawozdanie „Kur. Warsz." z posiedzenia 3 marca). 5) Gdy Towarzystwo dziennikarzy i literatów na skutek interpelacji p. Sobieszczańskiego popartej przez pp.: Lorentowicza, Rabskiego, St. Kempnera, Laskowskiego (El-a) i K. Polaka na posiedzeniu 3 marca powróciło do sprawy poruszonej przez „Wolne Słowo", p. Fryze przerwał dyskusję, przesławszy zawiadomienie towarzystwu, że „spór swój ze mną oddał pod sąd Towarzystwa Kultury Polskiej" — o czem nawiasem mówiąc, nic nie wiem! Natomiast wiem, że prokuratorja przygotowuje akcję do p. L. Fryze o zdeponowanie Rub. 20.000 z okładem dla kasy strażackiej w Banku Państwa...

**Ten proces odkryje dalsze, jeszcze nie oświetlone przez nas tajemnice Panamy, którym żadne Fryzowanie „Kurjera Porannego" nie nada eleganckiego wyglądu.**

## LISTY DO REDAKCJI.

Szanowna Redakcjo!

Z notatki p. t. „Patologja prof. Dybowskiego“ w „Myśli narodowej“ z dnia 30 sierpnia b. r. (Nr. 35), str. 7, dowiaduję się o recenzji książki prof. Askenazego „Uwagi“ w tygodniku cieszyńskim „Wiadomości polsko-słowackie“.

Dla uniknięcia nieporozumień proszę o zaznaczenie, że autorem recenzji tej w nieznanem mi zupełnie pisemku cieszyńskiem nie jestem ja, lecz widocznie ktoś inny o podobnem nazwi ku, i że ja do żadnego w ogóle pisma recenzji o książce prof. Askenazego nie pisałem.

Z wyrazami poważania

*Dr. Roman Dyboski,*
profesor literatury angielskiej
w Uniwersytecie Jagiellońskim.

## OD REDAKCJI.

Usuwając się, mamy nadzieję na krótko, z pracy publicystycznej, p. Adolf Nowaczyński zgodził się pozostawić na naszą prośbę w tece redakcyjnej kilka artykułów i notatek, z których obecnie korzystamy.

## OD ADMINISTRACJI.

Sz. Prenumeratorów prosimy o niezwłoczne nadesłanie zaległych należności oraz przedpłaty na kwartał I-szy 1925 r.

Zawiadamiamy jednocześnie, że nadal wysyłać będziemy nasze pismo jedynie prenumeratorom, którzy uiścili przedpłatę.



Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**
**Ceny ogłoszeń:** 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P. K. O. № 3105
**Skrzynka poczt. Nr. 150. — Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.**

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.